

Michał M. Kosman:

Francis Fukuyama:

## ***Ameryka na rozdrożu: demokracja, władza i dziedzictwo neokonserwatyzmu<sup>1</sup>***

Amerykańska polityka zagraniczna w dobie rządów George'a Walkera Busha z uwagi na swój niewątpliwie kontrowersyjny charakter doczekała się licznych ocen w toku szerokiej debaty pomiędzy jej protagonistami i przeciwnikami, pogłębiając polaryzację poglądów na temat roli USA we współczesnym świecie. Nic zatem dziwnego, że w jej ramach pojawił się także głos Francis Fukuyamy. Można akceptować bądź nie zgadzać się z jego wizją polityki międzynarodowej i jego poglądami na przyszłość gatunku ludzkiego, z pewnością jednak głosu wybitnego amerykańskiego politologa nie należy ignorować.

Autor dokonuje głębokiej analizy istoty neokonserwatyzmu – terminu w publicystycznym ujęciu często w ostatnich latach kojarzonego bardzo pejoratywnie, zaś w języku potocznym wręcz obelżywie w następstwie bliskowschodniej polityki USA.

Fukuyama próbuje wyjaśnić, czy rzeczywiście politykę zagraniczną ekipy G.W. Busha można określić mianem neokonserwatywnej, czy stanowi ona raczej wypaczenie neokonserwatyzmu. Fukuyama przyznaje się do udzielonego niegdyś poparcia (u schyłku lat 90.) dla polityki twardych kroków wobec Iraku, odmawiającego współpracy ze społecznością międzynarodową w zakresie kontroli swego arsenału militarnego, zdecydowanie jednak odżegnując się od jakiegokolwiek aprobaty dla planów zbrojnego ataku na Irak. Sam na wstępie wprowadzie określa się jako neokonserwatysta, jednocześnie jednak definiuje swoje stanowisko jako „realistyczny wilsonizm”. Nawiasem mówiąc, odczuwa się pewną niekonsekwencję autora, gdy ten wskazuje różnice pomiędzy owym realistycznym wilsonizmem a neokonserwatyzmem (ten drugi, w jego opinii, lekceważąco traktuje instytucje międzynarodowe

<sup>1</sup> F. Fukuyama, *Ameryka na rozdrożu: demokracja, władza i dziedzictwo neokonserwatyzmu*, przeł. R. Staniecki, Poznań 2006, ss. 192.

i mechanizmy multilateralne – i tu wydaje się tkwić główna pomiędzy nimi różnica), z którym się przecież także identyfikuje.

Czym jest zatem realistyczny wilsonizm? Zauważyć wypada uderzającą zbitkę dwóch terminów odnoszących się do tzw. pierwszej wielkiej (klasycznej) debaty w ramach rodzącej się po I wojnie światowej teorii stosunków międzynarodowych. Z jednej strony zatem, mamy termin „wilsonizm”, stanowiący dziedzictwo wielkiego amerykańskiego prezydenta, autora słynnych czternastu punktów z 1918 r., kojarzony z nurtem idealistycznym, zrodzonym z doświadczeń I wojny światowej. Jego sztandarowe składniki to szacunek dla instytucji międzynarodowych i współpraca międzynarodowa w duchu hasła „pokój przez prawo”. Z drugiej zaś strony, pojawia się przymiotnik „realistyczny” – rodzący skojarzenie z nurtem definiowanym zwykle jako opozycyjny wobec wilsonowskiego idealizmu, zrodzonym w przededniu II wojny światowej i dynamicznie rozwijającym się tuż po niej, przede wszystkim w następstwie pojawienia się prac Carra i Morgenthaua. Realisci poddali idealistyczny ogląd stosunków międzynarodowych druzgocącej krytyce, na pierwszy plan wysuwając kategorie siły i interesu państw w stosunkach międzynarodowych, na marginesie spychając prawo międzynarodowe i multilateralizm jako kategorie raczej utopijne.

Fukuyama sytuuje się w gronie czołowych krytyków polityki G.W. Bus-

ha, wytykając jego administracji błędy w polityce wobec Iraku (powtarzając w tym wypadku powszechnie znane argumenty) – przecenianie zagrożenia, kompromitację służb wywiadowczych USA, nieprzygotowanie do działań stabilizacyjnych, zaś w konsekwencji – wywołanie w świecie fali antyamerykanizmu. Pod ostrze jego krytyki dostaje się również spóźniony w retoryce administracji Busha motyw demokratyzacji Bliskiego Wschodu, choć jednak sama wiara w marsz demokracji nie opuszcza Fukuyamy. Jednak „co innego twierdzić, że istnieje szeroki, wielowiekowy trend ku demokracji, a co innego wierzyć, że stabilną demokrację da się wprowadzić od ręki w dowolnym miejscu i czasie” – twierdzi autor i w tej mierze widoczne jest uderzające podobieństwo do poglądów innych krytyków obecnej polityki zagranicznej USA. Rzeczywiście, krytyczny pogląd Fukuyamy na temat siłowych, prowadzonych z zewnątrz działań na rzecz promowania demokracji można uznać po doświadczeniach drugiej połowy XX w. za uzasadniony (ze sztandarowymi przykładami neokonserwatystów – przypadkami RFN i Japonii – Fukuyama rozprawia się argumentem, iż społeczeństwa obu państw wyraźnie opowiedziały się przeciw własnym siłom politycznym, które doprowadziły do wojny, tym samym w procesie narodowych ekspiacji pogodziły się w jakimś stopniu z okupacją amerykańską i przebudową swych państw zgodnie ze wzorcami demokracji). Tym bardziej trudno

zrozumieć krótkowzroczność architektów polityki amerykańskiej wobec Iraku, skoncentrowanych na militarnych jej aspektach i niedoceniających – trudno się oprzeć takiemu wrażeniu – skali czekających USA trudności w zakresie *peace building*.

Jednym z kluczowych zagadnień poruszonych w książce jest opis genezy i ewolucji neokonserwatyizmu (w rozdziale *Dziedzictwo neokonserwatyizmu*), który – według prezentacji Fukuyamy – przeszedł ogromną przemianę od swego zarania na przełomie lat 30. i 40. ubiegłego stulecia. Początków tego nurtu autor doszukuje się w środowisku intelektualnym lewicowych antykomunistów City College of New York. W ciągu kilku dekad przechodził ewolucję, której ostatni etap nastąpił w latach 90., kiedy to neokonserwatyizm nabrał aktualnego kształtu, głównie za sprawą takich postaci jak William Kristol i Robert Kagan. Jest on zatem obecnie czymś w rodzaju wilsonizmu doprawionego szczyptą poczucia swoistej misji Stanów Zjednoczonych – szerzenia demokracji na drodze „życzliwej hegemonii” USA. W tej koncepcji nie ma jednak miejsca dla aktywnej roli organizacji międzynarodowych, dowartościowana jest natomiast siła militarna USA. Efektownie brzmią przytoczone przez Fukuyamę określenia „twardy wilsonizm” lub „wilsonizm na sterydach”. Można jednak zadać sobie pytanie, ile w takiej koncepcji pozostało właściwie jeszcze wilsonizmu? Czy uprawnione jest stosowa-

nie tego określenia wobec programu, który z wilsonizmu przejmuje przede wszystkim cele (upraszczając – szerzenie demokracji), ignorując środki (multilateralizm, instytucje międzynarodowe), a nawet dowartościowując metody charakterystyczne dla realizmu (opieranie się na sile), stojące wręcz w sprzeczności z idealistycznym oglądem świata, typowym dla wilsonizmu? Wszak Fukuyama dobitnie konstatuje, iż „wiara w możliwość połączenia siły i moralności zmieniła się w przecenianie roli siły, zwłaszcza siły militarnej, jako środka realizacji celów amerykańskiego państwa”.

Fukuyama polemicznie odnosi się również do Huntingtonowskiego zderzenia cywilizacji (rozdział trzeci – *Zagrożenie, ryzyko i wojna prewencyjna*), doszukując się źródeł terroryzmu radykałów islamskich (posługuje się w tym wypadku terminem „dżihadizm”) nie tylko w konflikcie bliskowschodnim i pauperyzacji muzułmanów zamieszkujących ten region, lecz nade wszystko w alienacji wyznawców islamu mieszkających na Zachodzie, stanowiącej idealną pożywkę dla radykalizmu i źródło napięć społecznych. Autor odziera zagrożenie islamskim terroryzmem z waloru „nowości” – procesy te są dlań raczej aktualną wersją zagrożeń, jakie niósł ze sobą niegdyś komunizm czy faszyzm, raczej produktem nowoczesności niż rezultatem czerpania z tradycji islamu. Dlatego też główne wyzwanie postrzega w lepszej integracji muzułmanów mieszkających na Zachodzie z tamtejszymi społecznościami,



choć w dalszej części również silny akcent kładzie na wspieranie gospodarczego rozwoju uboższych państw, głównie poprzez wzmacnianie tamtejszych instytucji. Z pewnością sytuuje się więc w gronie zwolenników szerszego wykorzystania *soft power*, krytykując zbyt mały nacisk USA na ten sposób oddziaływania międzynarodowego (zbyt małe nakłady finansowe – to już właściwie truizm – ale i rozproszenie instytucjonalne amerykańskich podmiotów ukierunkowanych na działania z zakresu „miękkiej siły”).

Wiele miejsca autor poświęca także kwestii wojny prewencyjnej, której – w przeciwieństwie do np. Barbera (*Imperium strachu: wojna, terroryzm i demokracja*) – nie wyklucza (i to go zbliża do neokonserwatystów), jednak niepokoi go fakt, iż urasta ona do rangi jednego z ważniejszych środków amerykańskiej polityki zagranicznej. Powątpiewa, w przeciwieństwie do niektórych admiratorów obecnej polityki USA, jak np. Charles Krauthammer, czy zagrożenie wojną prewencyjną może powstrzymać tzw. państwa zbójce przed programami zbrojeń atomowych. Przykłady irański i północnokoreański potwierdzają trafność takiego wniosku, choć nie zapominajmy jednak, że sformułowanego *post factum*, w sytuacji potwierdzonego negocjowania przez oba państwa reżimu Traktatu o Nieprolifracji Broni Jądrowej.

Do neokonserwatyzmu zbliża go także akceptacja jednego z istotniejszych założeń tego nurtu, iż ogromna wielopłaszczyznowa przewaga Stanów

Zjednoczonych nad innymi uczestnikami życia międzynarodowego może być przydatna czy wręcz niezbędna dla realizacji „celów moralnych”. Powinna być jednak używana znacznie rozważniej niż obecnie, z pewnością natomiast środkiem stosowanym rutynowo nie powinna być wojna prewencyjna, niosąca ze sobą trudne do przewidzenia ogromne koszty polityczne, nie wspominając o nakładach finansowych.

Suchej nitki Fukuyama na obecnych apologetach polityki zagranicznej USA nie zostawia także w czwartym rozdziale, noszącym nieco przewrotny tytuł *Amerykańska wyjątkowość i międzynarodowa prawomocność*. Autor rozprawia się zwłaszcza z owym poczuciem wyjątkowości USA, które – jak podkreśla – noszą w sobie obecni neokonserwatyści (często przywoływani Krauthammer, Kristol czy Kagan), uważający tym samym niezwykle kontrowersyjną doktrynę wojny prewencyjnej za usprawiedliwiony środek realizacji amerykańskich interesów. Trafne z pewnością jest przypuszczenie, że zastosowanie przez inne mocarstwa wojny prewencyjnej spotkałoby się z ostrą krytyką Stanów Zjednoczonych, neokonserwatystom przypisuje Fukuyama bowiem przekonanie, że wojna prewencyjna tylko w wydaniu USA może być *bellum iustum*, czynem moralnym i usprawiedliwionym. Taka percepcja uniemożliwiła im antycypację nadchodzącej fali antyamerykanizmu w świecie, oznaczającego utratę przez Waszyngton znacznego kapitału zaufania, jakim

się cieszył w wielu częściach świata. Nie można mimo wszystko jednak oprzeć się wrażeniu, że Fukuyama w jakimś stopniu szuka usprawiedliwienia dla toku myślenia amerykańskich decydentów w doświadczeniach polityki transatlantyckiej lat 90. XX w., ocenianej przez nich przez pryzmat bezradności Europy Zachodniej i jej atrofii decyzyjnej w obliczu konfliktów na Starym Kontynencie. Usprawiedliwienie nie oznacza jednak akceptacji, Fukuyamie zdecydowanie nie po drodze z Kaganowskimi marsjańsko-wenusjańskimi porównaniami. Nawiasem mówiąc, załagodzenie sporów transatlantyckich na tle Iraku a.d. 2003 ocenia jako niezwykle trudne zadanie. Żałować jednocześnie można, że nie poświęcił nieco więcej uwagi temu – wydaje się – strategicznemu wyzwaniu dla przyszłości świata zachodniego, tak jak uczynił to chociażby Timothy Garton Ash w wydanym rok wcześniej *Wolnym świecie*. Niewątpliwie jednak w sporze pomiędzy sygnalizowanymi w tytule omawianego rozdziału amerykańską wyjątkowością a prawomocnością międzynarodową Fukuyamie jest znacznie bliżej do tej drugiej.

Tak jak w pierwszych rozdziałach większy akcent autor położył na diagnozę sytuacji międzynarodowej w kontekście polityki USA, tak w ostatnich (jest ich łącznie siedem) dominuje program pozytywny. W przeciwieństwie do typowych „wenusjan”, Fukuyama bardzo surowo ocenia rolę ONZ i jej zdolność do pokojowego

rozstrzygnięcia sporów, co więcej – autorytet ONZ, w jego mniemaniu, podważa fakt, iż bynajmniej nie jest ona zbiorem państw wyłącznie demokratycznych, a zatem i jej legitymacja prawotwórcza może co najmniej rodzić pewne wątpliwości. Łatwo zatem dostrzec, że stanowisko to z kolei zbliża go do neokonserwatyizmu. W miejsce bezwarunkowej nobilitacji ONZ przewiduje raczej budowę coraz liczniejszych instytucji międzynarodowych, regulujących określone szczegółowe sfery stosunków międzynarodowych, określając stan rzeczy, który by się zrodził wskutek tych procesów, oryginalnym mianem multimultilateralizmu. Taki zresztą świat, pełen pozapaństwowych instytucji uczestniczących w stosunkach międzynarodowych, już – jego zdaniem – istnieje (choć na razie raczej w sferze szeroko rozumianych relacji gospodarczych) i niekoniecznie posiadają one sformalizowany charakter, co rodzi istotne dylematy związane z koniecznością wyważenia proporcji pomiędzy ich prawomocnością a efektywnością. Szczególnie jednak godny uwagi fragment dotyczy postulowanego multimultilateralizmu w sferze bezpieczeństwa międzynarodowego. Krytycznemu spojrzeniu na ONZ towarzyszy w tym miejscu dowartościowanie roli NATO i podkreślenie większej legitymacji prawotwórczej i decyzyjnej Paktu Północnoatlantyckiego z uwagi na fakt, iż składa się z państw będących liberalnymi demokracjami. Pogląd ten zdaje się być bliski typowo zachodniej per-



cepcji stosunków międzynarodowych. Priorytetowe przyznawanie waloru prawomocności instytucjom stworzonym przez liberalne demokracje wydaje się być nieco kontrowersyjne i nazbyt zachodniocentryczne, a na pewno trudne do zaakceptowania przez państwa spoza tego kręgu cywilizacyjnego. Fukuyama bierze także pod uwagę możliwość zaprojektowania innych regionalnych instytucji bezpieczeństwa międzynarodowego – projekt przypominający coś na wzór modelu równowagi sił.

Ostatni rozdział ma już wyraźne właściwości programu pozytywnego, co zapowiada choćby znamieny tytuł *Amerykańska polityka zagraniczna w innym stylu*, choć w zasadzie stanowi zręczne i przejrzyste podsumowanie tez rozproszonych w poprzednich rozdziałach. Fukuyama po kompromitacji neokonserwatystów jako prawdopodobny uznaje powrót do władzy reprezentantów szkoły realistycznej, w skrajnym nawet oscylowanie Stanów Zjednoczonych ku tendencjom izolacjonistycznym. Scenariusz taki ocenia jako niebezpieczny dla świata i w poglądzie tym z pewnością nie jest odosobniony. Opowiada się

za wspominaną wcześniej życzliwą hegemonią USA, jednak realizowaną innymi narzędziami – z przesunięciem akcentu na *soft power*. Lektura książki rodzi wrażenie, że autorowi bestsellerowego niegdyś *Końca historii* bliżej jest z pewnością do wilsonizmu niż klasycznego realizmu czy neokonserwatyzmu rozumianego jako intelektualny fundament obecnej polityki zagranicznej USA. Zapoznając się z krytyczną jej oceną, należy jednak zapominać, iż politolog ma ten komfort, że pisze z perspektywy czasu, w tym wypadku kilku lat, jest bogatszy o wiedzę o faktach i zdarzeniach, na podstawie których może konstruować oceny. Tego komfortu przeważnie nie posiada polityk, działający często pod presją czasu i z ograniczoną możliwością antycypowania skutków swych posunięć, niedysponujący wiedzą o alternatywnej wersji przyszłości w przypadku zastosowania innych działań. Niemniej jednak, polityk powinien wyciągać wnioski i korygować błędy, w czym wspierać go winien fundament fachowo-intelektualny, a częścią takowego jest z pewnością *Ameryka... Fukuyamy*.